

Jadwiga Fęglerska (Rodziny katyńskie, Poznań)

– Transkrypcja wywiadu przeprowadzonego dla Biblioteki Raczyńskich w ramach cyklu: "Historia Mówiona". Rozmawiał Piotr Bojarski.

Piotr Bojarski: Pani Jadwigo, pani ojciec Zygmunt Młot Przepałkowski, legionista, żołnierz zawodowy – proszę o nim opowiedzieć.

Jadwiga Fęglerska: Właściwie niespodziewanie dużo wiem o ojcu, chociaż gdy znikł z mojego dziecięcego świata, to miałam 3 lata. To dzieci trzyletnie nie niosą pamięci zdaje się w przyszłość swoją. Rozpoznałam to po mojej córce, bo będąc trzylatką, nie pamiętała potem, jak to było. Musiałam jej opowiadać. I podobnie było z dziećmi, czyli ze mną i z moim bratem, u nas w rodzinie, gdzie właściwie wszystkie wiadomości o ojcu poznawaliśmy z przekazu matki, pięknie mówiącej, dobrze wykształconej. To stanowiło w pewnym sensie - powiedziała bym nawet - seanse wręcz artystyczne. Z podziwem słuchaliśmy, nie było to nigdy konkurencją, dla innych, ważniejszych przygód, tylko słuchać o ojcu. A ojciec należał do pierwszej Kompanii Kadrowej, która formowała się w Krakowie. Znalazł się tam właściwie trochę przypadkiem, bo przecież nikt nie wiedział, że wojna wybuchnie. I wtedy Pierwsza Kadrowa została utworzona, z tych zasobów, które Piłsudski miał właśnie w Krakowie, przy sobie. **(02:11)**

A do Krakowa, z Warszawy grupa 20-tu studentów, pod wodzą mojego ojca, który był kompanijnym, czy to się jakoś tak nazywało, wiódł ich bardzo sprawnie przekraczając granice między zaborami. Konkretnie między zaborem rosyjskim a austriackim. Żeby się dostać do Krakowa, trzeba było bardzo sprytnie, bardzo tajnie, przemierzać dosyć odległe drogi. I w ten sposób grupa warszawiaków znalazła się w tej pierwszej kadrowej w Krakowie, gdy Piłsudski musiał korzystać z tych chłopców, którzy są do czegoś gotowi. A ojciec już był po kursie wojskowym, nazywało się oficerskim, choć wtedy nikt jeszcze nie miał w mocy nadawania stopni oficerskich. I w Struży, rok wcześniej kurs ten skończył, i po tym mógł już podjąć pewne funkcje w tej Kompanii. Kompanii niezwyklej. Stąd wszystko wiedzieliśmy, bo 6 sierpnia był wymarsz Kompanii, co bardzo pięknie napisał prof. Majchrowski, że – od czasu gdy Traugutta powieszono na Cytadeli warszawskiej, czyli no dramat, okropna jatka, można powiedzieć. A tu szli, bo jest nadzieja! Czyli, że ten co po powstaniu styczniowym by już właściwie skąpany we krwi, się okazuje, że może być nadzieja na wolną Polskę, jeżeli do tej walki o nią stanie młodzież. I tak się stało. I wyruszyli. **(04:39)**

W Michałowicach pierwszy postój. Wszystko to jest opisane, i dlatego ja to wszystko wiedziałam. Bo ojciec napisał wspomnienia swoje - „Jak zostałem członkiem Pierwszej Kompanii”, a gdy wojna wybuchła i uciekaliśmy z Przasnysza, bo tam..

PB: [dopytuje] W 39' roku?

JF: ...39' rok, i właściwie dom zostawał na łasce... no.. ludzi [rozkłada ramiona] po prostu jakichś. Może Niemców. A mama pochwyciła w ostatniej chwili ten numer Strzelca, w którym był ojca artykuł, wszystkie takie ważne papiery dotyczące jego wojskowej przynależności.

PB: Miała jakieś przeczucie, że będzie potrzebne, tak?

JF: Myślę, że tak. I stąd wiedziałam potem wszystko co ojciec napisał, gdzie stacjonowali, w Słomnikach, jak wędrowali, do Kielc, no itd.

PB: Zanim dojdziemy do II wojny światowej, chciałem zapytać jak to było z karierą zawodową wojskową po I wojnie światowej, jak poznał pani mamę, kiedy pani się pojawiła na świecie, proszę opowiedzieć.

JF: Była taka inicjatywa, też na uczelniach prawdopodobnie, bo moja mama była w Łodzi na Wolnej Wszechnicy, czyli takim początku Uniwersytetu Łódzkiego, i letnie kursy dla słuchaczy, organizowane były w Gdyni, w Szkole Morskiej, z uwzględnieniem przede wszystkim tego, co daje nam dostęp do morza, i Gdańsk. Bo Gdynia była dopiero po wojnie budowana. **(07:10)**

I z kolei ojciec był zastępcą Orlicz-Dreszera, to był generał, który potem w takiej głośniejszej katastrofie lotniczej zginął pół roku przed wojną. Był jego zastępca w Lidze Morskiej i Kolonialnej. Bo też tam wszystko [wykonuje energiczne ruchy ramionami] wzajemna współpraca, zaufanie do siebie itd. I tak się stało, że ojciec też przyjechał na te kursy letnie, bo tam sprowadzano najlepszych filozofów, najlepszych polonistów. Zawsze były bardzo dobrze obsadzone te kursy wykładowcami, takimi co potrafili interesująco wciągnąć szerokie grono różnych ludzi. Z różnych zawodów, z różnych miejsc. I tam ojciec zobaczył matkę i strzała amora zdaje się go ugodziła, tak już mocno..

PB: Który to był rok?

JF: 33-ci. 1933'. I to się działo w czasie wakacji, czyli w sierpniu pewnie. I z wzajemnością. No ale kurs się skończył, rozjechali się w swoje strony, i wtedy.. [śmieje się] tak piękne listy miłosne pisał, a na końcu się przyznał, że właściwie to pierwszy raz pisze listy. „Zawsze miałem sekretarza, który za mnie pisał, a do tych listów, to nie mogłem go dopuścić.” [cytuje ze śmiechem] No i stąd takie piękne listy miłosne, którymi moja – wówczas kilkunastoletnia córka, zachwycała się, uwielbiała je, chciała nawet kopiować, tylko – mówi – Nie mam do kogo takich wysyłać. [śmieje się] Tak że potem, kiedy mama

zabierała na wojenną wędrówkę rzeczy, które były dla niej najważniejsze, to te listy z przedślubnego jeszcze czasu, też zabrała. I te czasopisma Strzelca, gdzie były artykuły ojca ważne. **(09:28)**

No i w ten sposób, w wielkim napięciu tego wrażenia jakie na sobie zrobili, ojciec postanowił przyjechać do mamy, do rodziców, a dziadkowie moi, mieli taki mająteczek w Tuszyńku pod Łodzią. Jest Tuszyn i Tuszynek. Tuszynek Majoracki nazywał się. I tam dziadek gospodarował. No i przyjechał ojciec oświadczyć się, zabrał mamę na zjazd do Krakowa, bo akurat było wielkie święto Jazdy Polskiej, na równą rocznicę Wiktorii wiedeńskiej. Tak że wszyscy ułani, wszystkie pułki tam się stawiały i mój ojciec mamę tam zawiózł, no i w krakowskim kościele Piotra i Pawła, co ma tych apostołów na murze. **[podnosi ramiona w górę]** Bardzo piękny kościół. W tym kościele odbył się ślub, no i wszyscy ułani byli obecni prawdopodobnie. **[uśmiecha się]** Bo tego już nie wiem.

PB: Gdzie rodzice zamieszkali?

JF: Zamieszkali w Wilejce, bo tam jeszcze była ważna ojca funkcja starosty. W Wilejce. Mama zjechała do Wilejki, no i właśnie takie pierwsze gospodarzenie, zjeżdżały wszystkie dwory z okolic, żeby poznać nową panią starościna. **[śmieje się]** No więc pani starościna miała codziennie dla innych jakiś tam gospodarskie powitanie. **(11:43)**

No i rozpoczęli życie bardzo szczęśliwe, bym powiedziała - takie bogate w przyjaźnie okoliczne, ale i w polowania, które tam, w okolicach Wilejki, bardzo często się odbywały. No i począł się Adaś, mój brat. Jeszcze nie było wiadomo czy to będzie Adaś, ale już sobie układali imiona, byli bardzo szczęśliwi. I Adaś się urodził w grudniu 34' roku. Czyli w rok po poznaniu, bo w 33' się poznali.

PB: A potem pani?

JF: Tak, potem ja. Jestem rok i 4 miesiące młodsza od mojego brata. No i wtedy to już w ogóle był szczęścia bezmiar, a ojciec został przeniesiony do Przasnysza. A w ogóle to mi się wydaje, że on miał jakieś powiązania z 2 oddziałem w wojsku.

PB: Z wywiadem, tak?

JF: Tak. O tym się nigdy nie mówiło, i nikt o tym nie wiedział i mama też nie. Ale tak by wskazywało potem, jak rozmawiałam z różnymi specjalistami, np. z prof. Majchrowskim. Że obsadzany był zawsze w takich ważnych punktach. Najpierw w Baranowiczach, potem ta Wilejka, i potem Przasnysz, bo Chorzele blisko, a w Chorzelach się przekraczało granicę z Prusami Wschodnimi. I tak się też stało, że tam Niemcy właśnie zaatakowali Polskę, przez Chorzele już tego 1 września. **(13:56)**

Tam był taka ważna dla nas sytuacja, bo my nie byliśmy w domu w tym Przasnyszu, rodzice byli tam sami. A my z panną Pauliną, młodą, pewnie dwudziestoletnią Francuzką. Tak się o

niej zawsze mówiło – panna Paulina. Jak się nazywała to nie pamiętam. Francuzka, która przyjeżdżała do opieki nad dziećmi, na takie jakieś wakacje. I my z nią byliśmy opodał, w Myszyńcu. I gdy się dzieje 1 września, w tym miejscu bardzo bliskim, gdzie ojciec w pośpiechu ładuje z szoferem ważne dokumenty Starostwa. Jet również FON. Była wtedy w Polsce taka powszechna zbiórka darowizn na wzmocnienie siły obronnej kraju.

PB: Fundusz Obrony Narodowej.

JF: Tak. I to było bardzo dużo precjozów, jakiejs biżuterii, jaką kto miał to dawał. I to zabierali w pośpiechu do samochodu. Jeden samochód, właśnie z tymi różnymi materiałami był służbowy, a ojciec z mamą w chevrolecie przyjechali do tego Myszyńca zabrać dzieci, no i pannę Paulinę. Dopiero później się dowiedziałam, że w tych wszystkich przygranicznych miejscach, różne Starostwa i urzędy z tamtego terytorium, miały wyznaczone miejsce, jak gdyby pierwszego ewakuowania się. I wiem, że to było u Dmochowskich, taki rzeczywiście duży majątek, i tam nas zawiózł ojciec. To akurat pamiętam, bo tam był taki przypadek jakiegoś strasznego wichru, wręcz tornada. Ja byłam jeszcze za mała, żeby swoimi siłami utrzymać się na ziemi. I nikogo innego nie porwał, tylko mnie, i niósł około 100 m, i gdzieś tam zaniósł. [wykonuje gest ramieniem obrazujący odległość] Szukali mnie. [mówi ze śmiechem] taki przypadek miałam oderwania się od ziemi. Byliśmy u tych Dmochowskich, i ojciec jeszcze pojechał do Warszawy przywieźć swoją matkę. No już bardzo wiekową, babcia miała wtedy 77 lat. Ojciec był zawsze bardzo opiekuńczy wobec niej. (17:21)

No i stąd znaleźliśmy się taką gromadką, a najazd niemiecki się rozwijał. I ojciec podjął decyzję o ucieczce na wschód. Dlatego, że wiedział, że za linią Bugu, będzie się Polska bronić. Tam jest wytyczna dla wszystkich oddziałów i wszystkich jednostek administracyjnych. Że to wiedzą, że tam będzie Polska walczyć, bronić swojej wolności. I tam jechaliśmy. Drogi były niestety bombardowane, wszystko było w takim zawrotnym tempie, nie wolno było się zatrzymywać na tych drogach, dlatego, że zatory powstawały. I pamiętam, że pierwszy raz w życiu zobaczyłam żmiję, bo jako dziewczynka na tyle mała, że może nie rozumiałam grozy. Musiałam zrobić siusiu, i wysadziła mnie mama przed drzwi samochodu, a tam tę główkę [wykonuje gesty obrazujące tę sytuację] tuż naprzeciwko mojego wzroku zobaczyłam. [śmieje się] Ze strasznym wrzaskiem wpadłam z powrotem do tego samochodu. No i podobno było to wielką trudnością, gdy małe dziecko nie może się wysuszać jeden dzień, drugi dzień. I rozpacz jakaś takiego rzędu. Teraz się śmieję z tego wesoło. A przecież to było prawdopodobnie bardzo straszne przeżycie.

PB: Czyli ojciec był tak naprawdę w 39 roku, we wrześniu, ewakuowanym urzędnikiem państwowym. Tak? (19:25)

JF: Tak by wynikało, ale z jakimiś poleceniami ze swojego 7 pułku ułanów, dla którego był rezerwistą. I tak się okazało, mama to właśnie wiedziała, że z konkretnym punktem

docelowym. Miał się zgłosić do Łucka, dla organizacji jakichś potrzeb kwatermistrzowskich dla tego pułku. Czyli wiadomo było, że tam będzie to wycofywanie i oddziałów i administracyjnych jednostek. I z tego powodu, gdy zabrakło benzyny, stanęliśmy wszyscy nie dojechawszy do Łucka. Łuck był wojewódzkim miastem dla Wołynia. W tamtym kierunku jechaliśmy, więc ojciec wziął bak, bo na kanister mówiło się bak. **[uśmiecha się wdzięcznie]** I poszedł z bakiem po benzynę. My zostaliśmy w samochodzie, a ojciec znalazł gospodarstwo u Czecha. Przeczytałam nawet ostatnio, że Wołyń, jako zabór austriacki, był przez Czechów chętnie zasiedlany. Bo Austriacy dawali jakieś ziemie, narzędzia, coś takiego. I stąd łatwo było trafić na Czecha, tam właśnie. **(21:04)**

I... Czech powiedział, że – Benzyny pan tutaj nigdzie nie dostanie. Jedyne co mogę zaproponować, to wezmę konie i ściągniemy samochód do mojego gospodarstwa, a przecież to wszystko co się dzieje, to się skończy. I tedy spokojnie o benzynę się postaramy. I ja i pan. I tak żeśmy się znaleźli w gospodarstwie Czecha – Józefa Swobody w Mirogoszczy Nowej, niedaleko Dubna. I dał nam do dyspozycji izbę, bardzo rozsądny człowiek, życzliwy, rozumiejący niebezpieczeństwo wojny, czym ona jest. Miał syna, też Josifka, który rozmawiał z nami po czesku, aż się nauczyliśmy - my dzieci, z Josifkiem porozumiewać. A Josifek był już takim kilkunastoletnim chłopcem, 15-16 letnim. I zatrzymaliśmy się u Swobody, a ojciec... wyruszył do Łucka. Odwiózł go końmi do stacji kolejowej Swoboda, i dał mu jeszcze jako okrycie kozuch, przed czym ojciec bardzo się bronił. A potem w pierwszym liście napisał, że – Kochany Swoboda, ten kozuch uratował mi życie. I nie wiemy dlaczego? Czy od chłodu? Bo potem zaczęły się tam noce bardzo zimne na tym Wołyniu. Czy dlatego, że mógł coś ukryć, czy może coś za niego wymienić? Ten kozuch odegrał ważną rolę. A mama obiecywała Swobodzie, że – Przyślemy Ci, przyślemy. Jak tylko się wojna skończy, to przyślemy Ci 5 kozuchów. I tak beztrósko wszyscy myśleli, że to będzie krótka wojna. **(23:48)**

I ojciec wyruszył, i już dalej z jego listu wiemy, że do Łucka nie dotarł, bo został w drodze przechwycony przez oddział sowiecki. Powiedzieli, że go aresztują, bo może być nośnikiem jakiejś złej sytuacji, bić się, wprowadzać nieład. I w ten sposób, ojciec znalazł się w więzieniu w Dubnie. Czego nie wiedzieliśmy, ale, że to Dubno było blisko, to Swoboda wymyślił dla mojej mamy, żeby tam się dowiadywać o ojca, gdzie jest. I tak się zaczęły nasze, co drugi dzień pewno, wędrówki. Tzn mama nigdy nie zostawiała nas samych, ponieważ już wiedziała, bo takie hiobowe wiadomości docierały z sąsiednich wsi, albo od sąsiadów tych, co dopiero przybyli w tamte strony, tzw bieżenców. Nie można było mówić, że się jest Polakiem. Trzeba było mówić – My bieżency. - Tak trzeba było mówić, tak mamę nauczał taki enkawudzista. - Polski już nie ma, Polska przestała istnieć. Wy jesteście bieżency. **[zamyśla się]** Pamiętam to słowo. - To ja bieżenka, Adaś bieżeniec, tak żeśmy się nauczyli odmieniać takie słowa. I do Dubna chodziła po wiadomości a tam mówili – Nicziewo nie izwiestno. A od pewnego momentu zaczęli mówić – Nie martwcie się, my

paszłom was k mężu. - Wy go nie szukajcie, my pošemy was do męża. I to oznaczało, że też nas gdzieś wywiozą, w głąb Rosji. **(26:13)**

I wtedy mama podjęła uporczywe starania, dowiedziała się, że w tym Dubnie, jest na szkolnym boisku urządzona tamtejsza władza NKWD, która umożliwiała wyjazd, jeżeli ktoś na to zasługuje. I mama zaczęła tam chodzić codziennie rano, pod to boisko otoczone siatką drucianą. Tam wynoszono stół i na nim stawiano kartoteki, jakieś takie drewniane szuflady. Przy nim zasiadał jakiś mocodawca enkawudowski, od łaski wydania zezwolenia na wyjazd stąd. **[dłuższe milczenie]** Zdarzyły się jeszcze takie odwiedziny u Swobody, że nocą, pukanie do drzwi gospodarza, i po chwili gospodarz wchodzi do naszej izby, jest już wieczór, dzieci w łózkach, i mówi do mamy – Do was pani Przepałkowska ktoś przyszedł. No to mama **[przykłada dłonie do twarzy i odchyła głowę]** – jeżeli tak mówi, to może delikatnie mówi, że przyszło NKWD nas teraz po prostu pojmać, aresztować nas z kolei. I wtedy zawsze przepytywała nas z imienia i nazwiska – trzeba było wiedzieć, że ja jestem Jadwiga Przepałkowska, a brat Adam Przepałkowski. **[mówi wznosząc oczy w górę] (28:23)**

I przepytała nas, i jeszcze trzeba było pamiętać adres dziadka. **[podaje]** Mateusz Sowiński, Tuszynek koło Łodzi. I to koło Łodzi się okazało już nieaktualne, bo to już był Litzmannstadt... Już zmieniono nazwę Łodzi na Litzmannstadt. Ale tego musieliśmy się nauczyć na pamięć, jeżeli zostaniemy sami, kim jesteśmy, żeby nie stracić wiedzy o tożsamości, a byliśmy mali przecież, ja 3 lata, Adaś 4 i pół. **[milczy przez chwilę]**

PB: Udało się mamie załatwić ten wyjazd?

JF: Chodziła tam codziennie, ale było już trudno... Była z nami też ta panna Paulina, Francuzka, a NKWD przychodziło na rewizję zawsze nocą. Co 3 dni, co 2 dni – Gdzie broń? Oddać broń! - krzyczeli na mamę. Mama dzielnie to znosiła, mówiła – Ja nie mam broni, nie strzelam, patrzcie! **[wznosi ręce w górę rozchylając pachy]** I jednemu NKWD-ziście spodobała się Francuzka, Paulina. I mówi – A ty co? A ona mówi, że chce wrócić do Francji, że chce wrócić do siebie, bo ona tylko na wakacjach tu była. - To obiecaj, że Ty mnie zaprosisz do Francji. I potem **[śmieje się]** zrozumiałam moc zaproszenia, gdy można było wyjechać z naszego PRL-u gdy się miało zaproszenie. Więc ten enkawudzista miał pierwsze pertraktacje z Francuzką, żeby go zaprosiła. A on z kolei mógł jej dać, wyrobić jej takie zezwolenie na wyjazd do Moskwy, gdzie będzie miała ambasadę francuską. I to jej się zaczęło podobać, bo widać było, że z nami jest wielki brak nadziei na cokolwiek, bo nie ma już ojca, matkę mogą w każdej chwili zatrzymać, co z dziećmi zrobić nie wiadomo, a w ambasadzie będzie miała jakieś wytyczne. **(31:10)**

I ten enkawudzista jej to wyrobił. Jakaś bumagę, taką co może tego i nawet mogła zgłosić do tej ambasady, żeby jej bilet wykupili na dojazd tam pociągiem. I udało się ją wyekspediować do tego, co jest, co na pewno.. Boże, sobie wyobrażałam ile radości przeżywała, potem ze wspomnień o tym, że on uciekła z tego piekła. A enkawudzista – już

Pauliny nie było, już wyjechała, przyszedł do nas w dzień, a oni nigdy w dzień nie przychodzili. Przyszedł, poświstywał sobie, stanął twarzą przed ścianą, gdzie wisiał taki zegarek po ojcu, kieszonkowy, taki, który się wkłada do butonierki. I tak się wpatrywał w niego i wpatrywał i w końcu powiedział: - A was zawtra paszłom k mężu. **[jutro poślą was do męża]** I to wyrecytował i wyszedł. Ale tak zgrabnie, że ten zegarek **[wykonuje gest zrywania czegoś]** zabrał sobie w nagrodę z tę wiadomość. Znikł razem z zegarkiem. I mama wtedy się zorientowała, bo już doskonale wiedziała co to znaczy że „paszłom was k mężu”, że też ją na zesłanie gdzieś tam... Do Swobody biegnie, relacjonuje mu, a on od razu – Natychmiast trzeba wyjechać, bo już w jakiejś wsi są zabierani ci bieżący, którzy tu się zjawili, i może być również, że i po was przyjdą i wyślą was gdzieś na Sybir. **(33:17)**

I gdy noc nadeszła, starannie ukryli to co po ojcu zostało – jego mundur i jego odznaczenia, gdzieś na strychu, za belkami zostało to jakoś tam ukryte. Dla nas miał jakąś wysuszoną słoninę, jakoś na sucho przygotowaną, żeby jakieś pożywienie było w naszej sytuacji. I jechaliśmy całą noc furmanką i dojechaliśmy do Równego, gdzie on miał jakiegoś szwagra, czy kogoś, w każdym razie nowe miejsce, gdzie nas nie ma na listach, i tam nas u tego szwagra zostawił. Też Czecha. Ten Czech bał się, dlatego że już poprzedniej nocy byli na rewizji u niego. Pytali czy kogoś nie ma, nie było, ale to nie znaczy, że nie przyjdą znowu. I mówi, że jedyne co on by radził, to on chciałby zawiadomić, że tu – dość daleko, gdzieś pod lasem, za miasteczkiem Równe, jest polska nauczycielka. I wszystkim wiadomo, że to Polka, że nauczycielka, że to kobieta, więc jej nie będą specjalnie posądzać, a że była łaskawa, to mówcie że to wasza znajoma. I on nas odstawił do tego domku pod lasem, nas to znaczy dwójkę dzieci, mamę i babkę. Bo z nami jeszcze babcia była cały czas w tej podróży, która na wskutek grozy straciła jakąkolwiek żywotność. Siedziała, milczała, nigdy nie rozmawiała, bardzo skromnie, jak ptaszek coś jadała. Była staruszką, którą taki cios jakiś powalił zupełnie psychicznie. Nie była w niczym pomocą. I w tym wszystkim mama sama się miotła. **(35:38)**

I dowiedziała się od nauczycielki, że jest to biuro NKWD, które się przy szkolnym boisku rozkłada z papierami różnymi, i tam trzeba stanąć w kolejce i czekać na... czekać na swoją chwilę szczęśliwą, że za chwilę zostanie się wezwanym za ten płot druciany. **[wykonuje gesty ramionami w powietrzu]** I mama tam chodziła. Pierwszego dnia, drugiego dnia... Dla nas gotowała na tej suszonej skórze słoniny tzw rosólek. **[śmieje się]** Wodą pozalewała i to się gotowało. Sama nie miała co jeść, żuła tę skórę od słoniny, i właściwie zaczęły już się pojawiać oznaki głodowych opuchnięć, że nogi już jej nie pozwolą dochodzić do tej całej enkawudowskiej biuralistyki. I gdy szła tego dnia, któregoś tam, to już był pewnie 20 dzień chodzenia do tej.. biurowej niby możliwości uzyskania zezwolenia na wyjazd, z tej ziemi, z tego Wołynia, z Równego konkretnie. I była mama już w rozpacz. To znaczy wiedziała, że jeżeli teraz nie, to tutaj wszyscy zginiemy, umrzemy z głodu. **(37:23)**

Gdy stanęła pod tym płotem, nagle taki jakiś czubaryk z pepeszą rozganiał ludzi [wykonuje gest rozgarniania] bo szedł rzeczywiście jakiś wysoki rangą komisarz. I mama swoim przedrewolucyjnym rosyjskim językiem – Gospodin Komisar! - krzyknęła. To on [prostuje się i odchyła tułowiem] jego to zatrzymało. Bo to był język, którym się już nie mówiło, już dawno byli towarzysze wszyscy w obiegu. [macha ręką] A jak tu gospodin powiedzieć. Gosposinów trzeba było wyróżnić. I on, tak nie patrząc na mamę [prostuje się i unosi wysoko głowę] – Ciewo? Ciewo? [czego, co?] - Dlaczego krzyczysz? A mama mówi – Ja chcę stąd wyjechać. Niech mi pan... I słyszy ten, że mówi pięknym rosyjskim, i pyta – A skąd wy? Jak wasza familia? No i mama mówi, że Przepałkowska. - No to co tu robisz? Gdzie muž? A dzieci? I mama to wszystko mu tłumaczy – No muž tam gdzieś, [odchyła ramię w bok] gdzieś w Polsce. Ja nie wiem gdzie on jest, bo wojna, a ja tu jechałam z dziećmi, bo tu miało być bezpiecznie. To tak się rzeczywiście dziwował ten enkawudzista i mówi – To wy i dwójka dzieci? - Tak. I odszedł. Odszedł z tą swoją wysokością ważną. No i mama stoi. Stoi, stoi.. Zbliży się wieczór, i nic się nie stało, gdy nagle z tego ogrodzenia znad tych szufladek różnych z dokumentami jakimiś, papierami słysząc wołanie: - Pierepałkowskaja! Mamę zamurowało. Jak ruszyła, mimo że jeszcze rano nie mogła chodzić, to nagle wtedy już mogła biec prawie, bo jak się spóźni, to nagle przestanie być ważne to wezwanie. Zresztą wieczorami już mało ludzi tam było. No i stawia się do tego [dyżurnego], a on mówi tak – Komisar [wskazuje ręką w bok] skazał, że dostaniecie zezwolenie na wyjazd. Wy i dwójka dzieci. A mama mówi – A jakże? A babuszka to co? Wam ją zostawię? Wy ją będziecie żywić? No nie, to się trochę otrząsnął, że nie chce. - No to napiszcie, że ona toż Pierepałkowska. I tak go przekonywała, a on tak słuchał [odchyła głowę i robi zdziwioną minę] tej mamy, właściwie długo dochodził do tego, i w końcu dopisał na tej liście, że my - dwa riebionka, i Maria Przepłkowska. (40:58)

I to oznaczało, że mamy zezwolenie na wyjazd z Sowietów. [załamuje ręce i składa na piersi] Z tej nowej sowieckiej posiadłości, tej władzy sowieckiej. No i wtedy trzeba było tylko walczyć każdego dnia o wejście do pociągu, bo gdy podstawiali pociąg, to trzeba było rzeczywiście zdobyć miejsce. Bo jechali nie tylko ci, co dostali te pozwolenia, tych zresztą nie było wielu. Tylko wszyscy, którzy beznadziejnie czekali, nie dostali, mieli nadzieję, że w ten sposób siłą wejdą do pociągu. No ale udało się, pomagał taki właśnie przywieziony z pepeszą. I jak dostał rubla, to chętnie tego [wykonuje gest podnoszenia obu ramion] pomógł, dzieci powsadzać. No i ten pociąg w końcu tam kiedyś ruszył. I to nie tego dnia, tylko jeszcze tam następnego dnia. A te ostatnie chwile, kiedy mieliśmy już tę zgodę na wyjazd, wszystko co było nam niezbędne do życia, to musiało z nami jechać, ale były takie jakieś pamiątki, których można się było pozbyć, sprzedać. I my – dzieci, taki żeśmy sukces odnieśli, sukces handlowy... [uśmiecha się] Ojciec - z przedwojennych jakichś zjazdów legionowych, przywiózł z Zakopanego taki domek, któremu jak się nacisnęło na dach, to wyskakiwał papieros. [pokazuje dłońmi zasadę działania] Oczywiście wprawdzie trzeba było te

papierosy tam włożyć. Poszliśmy z Adasiem na bazar w Równym i zainteresował się nami jakiś oddział krasnoarmieńców. Pokazywali sobie wzajemnie – smatri, papieruski. No i bardzo musieliśmy bronić tego domku, oni chcieli próbować. Nie wyobrażali sobie, że trzeba najpierw załadować te papierosy. Myśleli, że to taka mała fabryka papierusków. **[śmieje się]** I stąd zostało mi nieuzasadnione specjalnie przeświadczenie – Jacy oni są prymitywni. Jacy oni są niebywale biedni. Że ich można tak łatwo oszukiwać. No ale udało się, jakieś pieniądze za to dostaliśmy, zdaje się, że mogliśmy żyć ze dwa tygodnie za to w tej podróży okropnej. **(44:20)**

Dojechaliśmy do Chełma, jeszcze była jakaś komisja, która przepytowała nas. Kto ty, kto ty, to tamto.. a zainteresował się jakiś major, wskazał na Adasia i powiedział: - A ten malcik, powinien być russkij matros. A budiet germanski matros. Tak mówił do tej komisji, że jak go wypuszczą, to będzie niemieckim a nie rosyjskim marynarzem. A mama wtedy krzyknęła: - A może być polskij jeszcze! **[kładzie dłoń na czole i opiera się na tej ręce]** Jak mama się tam okropnie zachowywała. Ale prawdopodobnie ta jej pewność, była związana z językiem, z możliwością rozumienia i posługiwania się językiem. Pokiwali głowami, powiedzieli: - Możiet, możiet. I przepuścili nas na kwarantannę, gdzie tam do naga trzeba było się... Nas przejmowali Niemcy, w Chełmie, bo granica była rosyjsko-nemiecka.. na polskiej ziemi. **[prostuje się i uśmiecha]** I bali się strasznie wszy. Że z Rosji się wszy przenosi. I wszystkie rzeczy nam w takiej parze jakiejś tam... **(46:13)**

PB: Pani Jadwigo, ja przepraszam, wejdę w słowo, bo musimy się bardziej teraz trzymać historii ojca. **[zakłócenia dźwiękowe na planie]** Jak by pani mogła króciutko opowiedzieć, gdzie trafiliście i jakie były wieści od ojca. I ten związek z ojcem troszkę bardziej naświetlić.

JF: Jeszcze jak byliśmy u tego Swobody, na tej troszkę przypadkowej przystani na Wołyniu, przyszedł taki jakiś biedny chłop ukraiński, który przyniósł list. List był pisany na wizytówkach, na pierwszej było napisane, żeby dostarczyć do gospodarza Swobody, przysługa zostanie sowicie wynagrodzona. Ten posłaniec tłumaczył mamie, że teraz chętnie chodzi się przy torach, bo tam często coś wyrzucają ci, którzy są wywożeni. **(48:22)**

W okolicznych wsiach panował już popłoch, że zabierają tych bieżęńców. Uwięzionym w Kozielsku, Starobielsku, Ostaszkowie pozwolono pisać w obozach listy do rodzin. Było to przemyślane, chodziło o zdobycie adresów ich rodzin, by ja w drugim etapie wywieźć na Sybir. Oczywiście jeśli to były listy do Poznania, czy z Poznania, to ich to nie interesowało, bo było niemożliwe. Ale my, z naszym adresem – U gospodarza Swobody w Mirogoszczynie Nowej, byliśmy prawdopodobnie chętnym łupem dla nich. Ojciec wyrzucił przez okno z pociągu i ten wieśniak ukraiński przyniósł nam ten list **[zakłócenia dźwiękowe na planie, CIĘCIE]** na wizytówkach. Był dla nas świętością, bo to był znak, że żyje, że jest gdzieś, że

myśli o nas. Ojciec nie wiedział gdzie jedzie, pisał – wiozą nas gdzieś w głąb Rosji. Na końcu dopisane – mówiono coś o Charkowie. **(50:30)**

Wiadomo było, że na wschód, i to była dla nas trudna, groźna wiadomość. Bo zdarzyło się jeszcze przed tą mamy odwagą, żeby starać się za wszelką cenę o pozwolenie na wyjazd. Skoro ojca tam wiozą, to my musimy stąd czym prędzej wyjechać. No i uzyskała to zezwolenie, nas przekazano w Chełmie stronie niemieckiej i zezwolono na dojechanie do Warszawy. I rzeczywiście w Warszawie mieszkała rodzina cała ojca, jego dwóch braci, jego matka. I oni wszyscy zginęli w Powstaniu Warszawskim. I ta babcia która była z nami na Wołyniu też. Zginęła w Powstaniu Warszawskim, w pierwszym nalocie na Mokotów. To było ok 6 sierpnia. I tak potem mówiliśmy – Popatrz 6 sierpnia, ta pierwsza kadrowa wymaszerowała, oleandry opuściła, **[wznosi oczy ku niebu]** a babcia urodziła się szóstego sierpnia i szóstego sierpnia została zgładzona przez Niemców. **(52:27)**

No a ojciec w tym czasie znalazł się w obozie w Kozielsku. Napisał list.. **[szuka czegoś w pamięci]** ja muszę daty tych listów... W każdym razie ten na wizytówkach, był listem przypadkowym. Bo z pociągu wyrzuconym, be niczyjego zezwolenia, póki jeszcze miał czym pisać. Potem było trudniej, nie było papieru i kontrolowane były treści. Pisał głównie z troską o nas, o siebie się nie troszczył, pisał w ostatnim liście, ze trochę schudł. Jakies 12 kg. Ale głównie martwił się o nas, wymyślał najczulsze przymiotniki, dla nas, dla dzieci. I takie ostatnie przykazanie dla mamy, było wytyczną – Nigdy nie mów o mnie z dziećmi ze łzami w oczach, i wtedy **[zaczyna mówić płacząc]** mama najbardziej płakała. **[płacze]** A tak, to się trzymała dzielnie. I dzięki niej, wyżyliśmy tam. **[powoli się uspokaja]** **(54:24)**

Ponieważ w Warszawie nie było możliwości naszego zainstalowania się, pojechaliśmy do Łącucia, bo tam mama miała jedną ze swoich siostr – Mirę Lewicką. Mój dziadek w Tuszyńku miał 5 córek, i wszystkie były za oficerami, **[szeroko rozkłada ręce i śmieje się]** Można powiedzieć, że Wojsko Polskie, było dla dziadka podstawą dla szczęśliwego wydawania córek za męż. Mira Lewicka była w Łącuciu, gdzie jej mąż wuj Stach Lewicki, pułkownik, był najpierw zastępcą dowódcy pułku Strzelców Konnych w Łącuciu. A gdy wojna już wybuchła, został przeniesiony do Garwolina, gdzie zachował się rozkaz Grota Roweckiego, przenoszący wuja Stacha z Łącucia do Garwolina. Ale my **[wykonuje młynki dłońmi]** już do Łącucia dojechaliśmy. I w ten sposób, w domu naszej ciotki, można powiedzieć przetrwaliśmy taki bardzo trudny czas, bo dochodziły różne wiadomości tam. Wuj Stach dostał się do niewoli niemieckiej, a Zygmunt jest w Kozielsku. **[milczy chwilę]** To jeszcze wiedzieliśmy, że jest w Kozielsku.

PB: Rozumiem, że właśnie w tym Łącuciu dowiedziałyście się panie o tym odkryciu niemieckim?

JF: Tak, w Łącuciu.

PB: Pamięta pani ten dzień? Jak to wyglądało? Czy to było odczytane przez mamę z gazety, czy inaczej się Państwo dowiedzieliście? **(56:42)**

JF: Tam był dostęp do tych niemieckich wydawanych tzw. gadzinówek. I mama z tych gazet czerpała wiadomości - co i jak. I tam właśnie, pojawiło się pewnego dnia, gdzie cały Łańcut znalazł się przy tych głośnikach [spogląda i wyciąga ramię w górę] propagandowych, które Niemcy rozwieszali na każdej latarni, na każdym słupie takim ogłoszeniowym. To tam właśnie była wiadomość, że żołnierze niemieccy, którzy dotarli w tamte miejsca, w okolice Smoleńska, w drodze do Moskwy, goniąc bolszewików. A dotarłszy tam, znaleźli groby. Doły śmierci, tak to nazwano. Doły śmierci, to nie były groby, tylko to były wrzucane.. przypadkowo.. [mówi z przerwami, coraz wolniej] zwłoki.. po zastrzeleniu strzałem w tył głowy.... I mama biegła pod te głośniki, tzw szczekaczki, i słuchała podawanych nazwisk. I wciąż powtarzała – [mówi jakby patrząc na wyobrażony głośnik] – Nie. Zygmunt żyje, nie wymienili go. Żyje. I właściwie w ten sposób nie usłyszała nigdy, żeby nazwisko było wymienione, wśród znalezionych tam zwłok. [sic!] Ale uruchomiona została tzw komisja techniczna z PCK z Warszawy. Osoby z zakresu kryminalistyki i jeszcze tam czegoś..

PB: [podpowiada] Medycyny sądowej

JF: Właśnie, no i oni pojechali do tego.. do..

PB: Do Katynia...

JF: Do tego...właśnie... pod Smoleńsk pojechali, na organizowany przy współpracy z Niemcami miejsca. I wśród nich, gdy wrócili do Krakowa, był znany komuś Zygmunt Przepałkowski. I dał wiadomość, do kogoś tam w Krakowie, a ten ktoś ciotkę Lewicką w Łańcucie. I w ten sposób jakoś wiadomość przebiegła, że zdaje się, że znajduje się, ale takie pewne to nie jest. **(59:55)**

PB: Na jakiej podstawie to było wnioskowane?

JF: No bo oni pewne materiały znajdowali, ta Komisja Techniczna. Znajdowali materiały i zdołali odczytać nieraz coś. Ale nie były to na 100 procent wiadomości. Dlatego, że były nieraz w połowie zniszczone, przestrzelone, trochę zgniłe, troszkę zdeptane.

PB: Czyli jakiś ślad dokumentu znaleziono, ale nie było stuprocentowej pewności.

JF: ...pewności, że to jest ten. Tak że właściwie, mama trwała w nadziei, że żyje. Że nie ma tej wiadomości. O innych mówią, że tak, że był na pewno, a ojciec, że nie był. Może mu się udało uciec. Nawet taka wersję tam w tym Łańcucie stworzyła sobie. Znała pana Bauera, był przedtem starostą w Łańcucie, i tenże pan Bauer jej powiedział, że mogły być zamienione koce np., które mieli oficerowie, z nazwiskiem. [gest dłonią ukazujący mały kształt w dole] Koc z nazwiskiem na dole.. [ponownie gest dłonią] Podobnie książd

Peszkowski opowiadał, że swój koc dał koledze z podchorążówki, gdy został wyczytany na listę, wywoływali, żeby się zgłosił do transportu. Ksiądz Peszkowski został uznany za zmarłego i potem z wielkim zdziwieniem odkrywano, że żyje. Czyli ten przypadek, który w filmie Wajda wykorzystał.

PB: Ja widzę więcej podobieństw z historią pani ojca. Bo przecież tam jest też scena, kiedy żona generała też chodzi, nasłuchuje tych szczekaczek i czeka na nazwisko męża, podobnie jak pani mama.

JF: Tak, rzeczywiście. Nawet rozmawiałam o tym kiedyś z Wajdą. Spotkaliśmy się raz w Warszawie. [opiera głowę na dłoni] na takim.. na takim katyńskim właśnie..

PB: To już po filmie, tak?

JF: Tak, tak.

PB: Czyli mama nie dopuszczała tej wiedzy do siebie, że tam zginął jej mąż? (62:35)

JF: Nie dopuszczała, wydawało jej się, że właściwie wszystko mogło wskazywać na to, że udało się, bo był sprytniejszy od innych, znał język, został nie w walce jako oddział jakiś złapany, tak jak innych brali przecież z pola walki. To znaczy, no nie walki, ale z kwatery, prawda? [cały czas intensywnie gestykułuje dłońmi] Tak było z innymi oficerami. Tak jak.. o Janinie Lewandowskiej chciałam opowiedzieć, bo mnie fascynowała ta postać. Ześmy z Ksawerą Czajką-Szostak, napisały nawet taki artykuł dla „Skrzydlatej Polski”. Co wiemy o losie Janiny Lewandowskiej. I ona tak się właśnie dostała na te wschodnie kresy, wieziona tym rzutem kołowym z Ławicy, który poszedł. I jak Sowieci zatrzymali ich, nie pamiętam, pod jakim miastem, i był rozkaz – Oficerowie wystąp! To ona wystąpiła. Bo po kursach już miała już uprawnienia oficerskie. Podporucznika. W kontaktowaniu się aparatami już, czyli telegrafem między samolotami. (64:29)

PB: A wracając do pani rodzinnej historii, to kiedy tak naprawdę dopuściliście państwo – pani, mama... może raczej pani – tę informację, że tata nie żyje?

JF: Więc muszę powiedzieć z zachwytem nad moją mamą, że ona nie dopuściła jej nigdy. [mówi śmiejąc się]

PB: W ogóle, tak?

JF: W ogóle. Moja mama umarła, zanim zostały powiedziane pierwsze pewne wiadomości. Zanim Jelcyn udostępnił dokument główny o zamordowaniu. Mama mówi, że zdarzało się, że z ziemi Franciszka np. przybywali, już długo, długo po wojnie. A tam się znaleźli. Z bezkresnego Magadanu, mógł być na roboty gdzieś wysłany. On wróci, i nawet było to jakimś dopingiem w naszych naukach. Pamiętam, że gdy np. będąc już na Politechnice, zrobiłam prawo jazdy, to mama mówiła: - Ale się ojciec ucieszy gdy wróci. Zawsze w

czasie teraźniejszym, czy raczej przyszłym. Że się ucieszy jaka ja dzielna, że prawo jazdy zrobiłam.

PB: Czyli mama zmarła w którym roku?

JF: W 73'. U nas przecież dopiero w 89' roku można było głośno mówić słowo Katyń. Były zdarzenia rzeczywiście takie, że mój ojciec miał przydomek legionowy – młot, i tak jak inni, postanowił go - mówimy o czasie międzywojennym – wprowadzić do nazwiska. Tak jak Wieniawa Długoszowski, Belina Prażmowski, jest przydomek Młot i ten Młot Przepałkowski wprowadził. I jak się dzieci rodziły, to już się nazywały Młot Przepałkowski. Ja jestem z domu Młot Przepałkowska. **(67:00)**

Ale na studiach, na Uniwersytecie w Łodzi, mój brat został zaatakowany przez Studium Wojskowe. - Co to znaczy? Podejrzewali, że po ojcu wojskowym, oczywiście. I jako taka represja, przeciwko tym przedwojennym...że będzie wydalony z uczelni.

PB: A panią jakieś represje spotkały?

JF: No nie, bo nie miałam studium wojskowego. Studiowałam na Politechnice, czyli innej uczelni, nawet mam ten dokument, **[rozgląda się po pokoju]** z mojego dowodu osobistego. Że jestem Młot Przepałkowska **[mówi ze śmiechem]** z domu. I to do dzisiaj, dowód jest ważny, nigdy go nie usuwałam.

PB: Ale czy z tego tytułu, że pani ojciec zginął tam na wschodzie, miała pani jakieś nieprzyjemności na studiach? Czy później w życiu w komunizmie?

JF: Miałam takie wydarzenia dziwne.

PB: A możemy o nich opowiedzieć? Proszę opowiedzieć chociaż kilka przykładów.

JF: Takie ZMP-owskie jakieś zebrania, pewno czymś zdopingowane, ale w każdym bądź razie – Mówią tutaj **[stylizuje głos na komunistyczną aparatczykowską tonację]** że jedna koleżanka, to właśnie...no.. jest podejrzewana, ale może nam opowiedzieć może o sprawie Katynia. Jest podejrzewana, że wie. Takim językiem zetempowskim jakiejś aktywistki takiej było to mówione, zresztą znałam jej nazwisko i potem wyjechała do Izraela.

PB: Prowokacja trochę, tak?

JF: Prowokowanie, żebym ja coś powiedziała głośno.

PB: Pani milczała tak?

JF: To było zebranie całego roku **[wykonuje obszerne gesty ramionami]** bardzo liczne. Wiem, że wtedy powiedziałam, że nie wiem nic więcej oprócz tego co my wszyscy **[szeroki gest ramionami]** tu wiemy. Nie znam, nie wiem... **[przyjmuje zdziwioną minę]** No i w ten sposób uczyniłam wszystkich winnymi. **(69:30)**

PB: Sprytnie. A to było na Politechnice...?

JF: Na Politechnice Łódzkiej.

PB: Pani tam studiowała co..?

JF: Wydział Włókienniczy w Łodzi. [śmieje się]

PB: A te inne sytuacje, takie nieprzyjemne? Pamięta pani coś jeszcze?

JF: Był taki przedmiot – Marksizmu, Leninizmu, i on się odbywał w takiej salce, gdzie był duży portret Dzierżyńskiego i przy nim takie ławeczki do siedzenia [rysuje ramionami układ przestrzenny] I mnie wypadło miejsce, tuż obok portretu Dzierżyńskiego. Kolega palił papierosy, dostałam jego zapalonego papierosa i wypaliłam dziurkę w tym portrecie, wielkim plakacie na całą ścianę, i wsadziłam mu tego papierosa. No.. [wznosi oczy do nieba i rozkłada ręce] straszne.. I wtedy wszedł ten prowadzący, nota bene z Francji taki działacz, jak on się nazywał...? [usiłuje sobie przypomnieć] Działaczem był już takim niepodległościowym.. Ale dokładnie znał problemy Marksizmu i Leninizmu. No i z tego Dzierżyńskiego wylatywały te dymki tam jakoś. No i to zakłóciło coś, no i wyszedł w zdenerwowaniu ten prowadzący . Okazało się następnego dnia, że mam komisję dyscyplinarną, i prodziekan do spraw studenckich wzywa mnie. I mówi – Tu wpłynęło na panią tego.. tego, tego.. Mówi: [pochyla się do przodu] – Dziecko, dupę bym ci zlał [śmieje się] za takie pomysły. Co ci to dało? Nic, żadnej korzyści, tylko stratę. I tak mnie tego.. A ja mówię – No ale było wesoło przynajmniej, coś się działo. I on tak patrzy na mnie i mówi tak – Przecież ja pani już raz powiedziałem, że nazwisko Przepałkowski coś mi mówi, i ja je pamiętam. Ja mówię [wychyla się do przodu w konfidencjonalnym geście] – Z Legionów? I tak sobie śmiało rozmawiamy. A to jest prodziekan do spraw studentów. Nazywał się Morozowski. I on mówi – Tak. Czyli sam też miał kartę legionową. I wtedy na moich oczach podarł ten cały wniosek o tę komisję dyscyplinarną podarł. I mówi – Bezzasadny. A jeżeli coś demonstrować, to mądrze, a nie głupio. (72:42)

PB: A jeszcze chciałem zapytać o pani stosunek do tajemnicy katyńskiej. Pani wierzyła mamie? Czy raczej skłaniała się ku takiej pewności, że tata zginął?

JF: Wie pan co, że muszę powiedzieć, że nie. Że myśmy raczej wierzyli, że ojciec wróci, bo to było nam chyba potrzebne. Tak myślę. Jak byłam w latach jeszcze nie tego, to zawsze mówiłam – Jak tatuś wróci, to będzie znowu przed wojną. [mówi z uśmiechem] Tak że czas przed wojną był tym czasem normalnym, gdzie jest rodzina, dom, a nie to że my... [wykonuje wahadłowe ruchy ramionami]

PB: Podobno przed Wigilią modliła się pani z bratem nie o prezenty, tylko o tatulka?

JF: Tak, bo listy się pisało do św. Mikołaja. W Łańcucie zaczęłam naukę nawet tam w szkole siostr boromeuszek. To była jedyna możliwość pójścia do I klasy. I tam właśnie listy

do św. Mikołaja się z tych literek układało. To już potem zawsze tak... Ale muszę przypomnieć sobie to, że... [szuka myśli] ..pracowała na Uniwersytecie, w pełnym wymiarze i już nie mogła chodzić. Miała problemy z kręgosłupem i właściwie leżała, opiekowała się nią najmłodsza siostra. Która też zmarła [macha ręką] dwa tygodnie potem zdaje się. Zajmowała się, ale się buntowała przeciwko temu. Więc musieliśmy z bratem jakieś takie dyżury dla niechodzącej mamy organizować. I ja przyjechałam do mamy na mój urlop. I wtedy mama jakby ozdrowiała, bo wszystko mi opowiadała, o ich życiu w Przasnyszu, jaka była szczęśliwa, jak to i tamto, i w tym wszystkim, przekazała mi taką myśl – Słuchaj – ojciec żyje, ale gdzie, my nie wiemy. Ale on nas znajdzie, bo on będzie robić wszystko, żeby nas znaleźć. I ma ten słup, taki [wykonuje ręką gest dźwigni] na który można wiadomości słać. To Tuszynek koło Łodzi. Więc musisz się pytać w Tuszynku na poczcie. Zostawić wiadomość – Jeżeli przyjdzie jakiś odzew, to żeby.. to żeby.. Ty musisz go odszukać! Pomyśl że przecież. To nie będzie ciągle, przecież będzie można wyjechać na pewno za granicę. I tak sobie to obmyślała – On się znajdzie. Musisz to zrobić w moim imieniu. (76:35)

PB: I taka szansa niespodziewanie zdarzyła się w roku 1989'. Pani dostała niesamowitą propozycję wtedy, od kogo? Proszę opowiedzieć. Wyjazdu do Katynia.

JF: Właśnie będąc taką pamiętającą to przykazanie mamy, no że muszę, bo kto jak nie ja? Jeżeli mama mi to... W jej imieniu muszę. I gdy słowo Katyń niespodziewanie padło w radiu, bo usłyszałam wiadomość taką, że kapelani wojskowi, zdaje się czternastu, czyli tyle ile było tych wojskowych katedr, zawieźli krzyż do Katynia. I został postawiony w lesie katyńskim.

PB: To był pierwszy znak nowych czasów, prawda?

JF: Pierwszy znak. Radiowy, a potem już i w gazecie.

PB: To był 89', Gorbaczow, tak? Czy już później?

JF: [szuka w pamięci] ...Bo to wiązało się.. Ten krzyż został postawiony – mam wyraźną notkę o tym zachowaną, dzięki zaproszeniu prymasa Glempa, na jakieś lecie, na jakąś uroczystość kościoła prawosławnego. I to był znak, że właśnie pozwolono oddychać prawosławiu, bez tajności, bez chowania się z wiarą prawosławną. I to prawosławie obchodząc swoje, zaprosiło Glempa. (78:43)

PB: To który to mógł być rok?

JF: To był 89' rok, jesień. I wtedy Glemp uzgodnił pewno z tym patriarchą rosyjskim, że zawiozą krzyż. I na to ten patriarcha wydał zgodę, chociaż pewno tam inne organa wydały. Ten transport był bardzo trudny, krzyż miał 14 m długości. [wykonuje gesty ramionami w powietrzu] Ale został dowieziony i zamontowany w lesie katyńskim, na polanie, na której już były... już były ślady pamięci, można powiedzieć, ale nam specjalnie nie znane. To były

dwie tablice granitowe, ustawione przez Rosjan z napisem, że tu leżą pogibszyje germanskimi najeżdźcami.. ofiary okrucieństwa hitlerowskiego. Na tych dwóch tablicach. Więc to słowo Katyń w przestrzeni zaistniało. To ja wtedy natychmiast pismo do Rady Pamięci Walk i Męczeństwa – Jest miejsce, gdzie pamięć trzeba zintensyfikować, to właśnie tam, gdzie ten krzyż pojechał, i ja muszę tam się znaleźć, ja muszę, ja to przysięgam mojej umierającej matce, bo tam mój ojciec został na pewno zamordowany, bo był w Kozielsku, a potem już nigdy nikt o nim nie usłyszał. **(80:51)**

I coś niesłychanego, co się wtedy stało. Jakieś 3 dni po wysłaniu tego listu, dostałam telefon w Instytucie Włókien Naturalnych w Poznaniu. Nawet nie wiem jak oni mnie tam znaleźli.

PB: Bo tam pani pracowała wtedy?

JF: Tam już pracowałam, nawet już od paru ładnych lat, od 60' roku. Czyli ponad 20 lat.

[imituje głos w słuchawce] – Mówi generał Paszkowski. – to był prezes tej Rady Pamięci Walk i Męczeństwa. A z kolei mój kuzyn, Lewicki, mówi – W Korpusie Kadetów był razem ze mną. Czyli synowie tej ciotki z Łańcuta, jeden skończył Korpus Kadetów, akurat miał 18 lat jak wojna wybuchła w 39'. No w każdym bądź razie gen. Paszkowski mówi:

– Pani napisała list do nas.

– No napisałam, ale chodzi o to, żeby realizować coś o czym ja tam..

– Ja właśnie o tym mówię, proszę pani. Montujemy w tej chwili dużą delegację na objętość jednego samolotu – kombatantów, kapelanów, harcerzy, oficerów tam takich owakich.. Czy panie zgodzi się polecieć tam?

– No jak to? Już skrzydła przyczepiam – powiedziałam mu, a potem nawet napisałam.

[śmieje się]

– Przede wszystkim, ma pani paszport?

– Przecież nikt swojego paszportu nie ma. Paszport mój jest w instytucji, która mnie zatrudnia, czyli w Ministerstwie Przemysłu Lekkiego, czy jakimś tam.

– Ale w ogóle ma pani taki paszport?

– No tak, bo służbowo używałam go kilkakrotnie.

– Proszę mi podać swoje namiary. **(83:18)**

Podaję mu przez telefon to wszystko, a w 3 dni potem, dostaję informację, że mój paszport zostanie przesłany do Instytutu. On osobiście tą sprawą kierował. Wydobył ten paszport z jakiegoś ministerstwa, czy urzędu paszportowego. Wiedział skąd się wydobywa. Ja nie miałam pojęcia. Wiem tylko że kolejki były na 3 miesiące. No więc on mnie zawiadamia, że paszport. I to był jego drugi telefon do mojego Instytutu. I robi się szum w tym Instytucie.

[przyjmuje konfidencaonalną pozę i mówi przytłumionym głosem spiskowca] – Podobno do Katynia pojedzie. Jeszcze wciąż mówią to słowo szeptem. I ja w charakterze spowiednika [trzyma się za głowę] dla siedmiu mniej więcej osób – Bo mój brat poszedł na wojnę. – Bo mój ojciec nie wrócił. Ludzie mi przynosili różne rzeczy, żebym zabrała do Katynia. Potem się złąkłam tego dźwigania, bo jakże ja tam zaniósę kwiaty czy coś..? Siedem osób z Instytutu, z którymi się dzień w dzień spotykałam, a nie wiedzieliśmy o sobie. O mnie też nikt nie wiedział. Bo rozmów nie miałam z nikim. Tak że zdziwienie przeogromne po prostu. I stąd była taka droga nieodległa dla mnie, że Alina Nowakowska pracowała w Wydziale Współpracy zagranicznej Instytutu. I ona o tym Katyniu mówi – Słuchaj, jak pojedziesz do Katynia [mówi przytłumionym głosem] matko droga, wiesz co to za wydarzenie? To trzeba nagłośnić. Słuchaj, ja powiem Markowi, ale żebyś mu nie odmówiła czasem. I przyszedł Marek i nakręcił taki film z moim opłakiwaniem ojca. Kim był, dlaczego znikł, i w ogóle jak to było. (86:03)

PB: I jak się tam dostaliście?

JF: Polecieliśmy samolotem. Wtedy jeszcze byliśmy w pakcie warszawskim [śmieje się] ja wiem, że to miało znaczenie, bo o tym mówiono. Niebypałe towarzystwo się znalazło. Byłam już zawiadomiona, że w hotelu [usiłuje przypomnieć sobie nazwę] ..mazowieckim się może nazywało, czy coś... Że tam dużo ludzi zostało zebranych, i my się sobie przedstawialiśmy. To było tak, jakbym nagle znalazła swoją rodzinę. Wszyscy w podobny sposób opłakiwali swoich ojców. Nie wiedzieli długo, matki nie chciały przyjąć tego do wiadomości. Mężczyźni łatwiej to przyjmowali. Jakoś sprawy zabijania [śmieje się] są im bliższe. Śmieję się w tej chwili.. Ale poznawałam wtedy ludzi, poznałam wtedy tych wszystkich, którzy przez całą tę działalność, jak np. Andrzeja Przewoźnika. Fantastyczny człowiek, ile on sił i energii wniósł w to wszystko. Potem, jak się spotykaliśmy przy gotowych już cmentarzach w lesie katyńskim, a potem w Miednoje, to było wielkie wzruszenie, że są mi tak bliscy.. Przez to, że wszystko rozumieją. Nikt tak nie rozumie, jak ten co ma podobne przeżycia, i to tak wiele lat.. przecież to niekończące się było. 47 lat mniej więcej różnicy między tym pochówkiem na cmentarzu a tą pierwszą wiadomością, że możesz o nim zacząć mówić, możesz go wymieniać. (88.20)

PB: Pamięta pani ten dzień, kiedy pani tam realnie stanęła? Chodziła między tymi drzewami?

JF: To było niesłychane wrażenie. Byłam też pod wrażeniem czyichś notatek, że jest pewien, że on też w tych grobach leży, bo z jego zdjęciem ojciec poszedł na wojnę. [milknie, zastanawia się] ...ktoś mi to mówił... I że on się utożsamiał z tymi, co w ekshumacji byli z tych grobów wyjmowani, bo przecież „mnie na tym zdjęciu też wyjęli stamtąd”... I taka przepleciona ta nasza egzystencja, z tym ich niebytem już tam.. straszne to wrażenie robiło. Pamiętam, że sen się skończył, nie było snu.. w ogóle. Nie było snu,

żeby nie wejść w inną tematykę jakąś. Nic tylko to myśleć, o tym myśleć, jak to było... Dla mnie ten las był.. pod prądem jakby. Wydawało mi się, że na pewno przy tym strzale w tył głowy, ojciec wykrzychał nasze imiona, na pewno. A przecież to jest wiązka elektronów – tak sobie mówię – wiązka elektronów, która tu gdzieś w tym lesie zaistniała. [mówi z patosem, unosząc w górę ramiona] To wszystko razem, było tak niezwykłym zjawiskiem, [milknie] ..że... że jak sobie tak myślałam, to że w ducha ojca nie potrafiłam wierzyć, ale w tę jego myśl, w tę jego jakąś obecność tutaj, że on mnie na pewno widzi. To nie było wg reguł katechizmu, że tam duch się pojawił, czy aniołek tam jakiś... Nie. To była obecność mierzalna wręcz w fizycznych jednostkach. Moja i Jego. (91:06)

Nie z tej ziemi wrażenie. Pamiętam to. Pamiętam nawet, że ta obecność była przyjazna. Że nie było tam żadnej nienawiści, tylko coś spływało na mnie takiego właśnie, że jestem tu i że to jest moje spotkanie. Tak sobie to po prostu tłumaczyłam, wyraźnie pamiętam to odczucie. W takim całkiem fizycznym, wręcz namacalnym promieniowaniu.. nie! Nie wiem... [uśmiecha się do siebie] Nie to nie można chyba tego nazwać, ale była ta świadomość – I zobacz, i tu cię znalazłam... [płacze] ..i tu cię znalazłam. To tu – napisałam nawet wtedy taki tekst. To tu, to tu, w tym miejscu [mówi przez łzy] cię znalazłam.

PB: Chociaż formalnie taty na żadnej liście do dzisiaj nie ma, prawda?

JF: Jest.

PB: Został znaleziony, tak?

JF: Tak, i to jeszcze w sposób bardzo niezwykły, bo gdy Jaruzelski otrzymał listy w Moskwie, i przyjechał z nimi, to zdaje się – dał natychmiast polecenie, żeby z tymi listami dotrzeć do rodzin, bo to one głównie czekają na to.. Pewno, że my – władze wojskowe – też chcemy wiedzieć, ale głównie oczekiwanie było w domach osieroconych ludzi. (93:20)

Może jeszcze żony żyją? Wdowy. Rzeczywiście w nagrodę dla tych wdów napis... takie trzy tomy, nawet postawiłam je tutaj [wskazuje miejsce w pokoju] – Pisane miłością. 3 tomy o losach tych wdów. Jakie one były dzielne, co to były za matki. Że te matki w czasie wojny, wielokrotnie bezdomne, [mówi z naciskiem] bo wypędzano, jeżeli to były jakieś służbowe mieszkania, a w ogóle wysiedlano z mieszkań. Były potrzebne dla Niemców przecież. Tak było w Poznaniu najczęściej, że wysiedlano. I te dzielne wdowy potrafiły nam zapewnić życie, wykształcenie, wszystko. To jest niebywałe. (94:18)

PB: Czyli widząc te dokumenty, które Jaruzelski przekazał rodzinie, pani już miała pewność, tak?

JF: Właśnie było tak, że one się znalazły – gospodarowała nimi Rada Pamięci Walk i Męczeństwa, i wezwano przedstawicieli tych sześciu miast, do Warszawy, do siedziby Rady. Czyli do pana Andrzeja Przewoźnika. Wtedy go poznałam. I to ja jechałam wydelegowana, z przyczyn, [mówi ze śmiechem] o których panu wspomniałam. I jesteśmy tam w tej sali i

dostajemy swoje te.. [trzyma kartki papieru] I też rzeczywiście [śmieje się] wydaje mi się że mam jakieś machinacje z niebem, bo... może pan sobie wyobrazić, że na kolanach [pokazuje wielkość ok 30 cm] trzymam te... piętnaście tysięcy, czy ileś. Bo nie wszystkie były jeszcze skompletowane. Tam ten Starobielsk był po prostu spóźniony, inaczej, wg innych reguł robiono kopie. I ja siedzę nad tymi tysiącami listów, i sobie tak [wykonuje gest rozdzielania dwóch części] właśnie w połowie odczytuję – O! Kozielsk...[imituje odczytywanie] Jej, Kozielsk..[wykonuje teatralne gesty nad listami, przegląda je] – po pięciu minutach już mam. Może to moje oswojenie z rosyjskim alfabetem, bo znałam rosyjski. Kto nie znał, miał kłopoty, bo nie umiał przeczytać. Bo one były cyrylicą pisane. – Mam, mam, Mołot Przepałkowski, tak właśnie napisane. Z legionowym przydomkiem. I wtedy w tej Warszawie jeszcze omówiliśmy jakieś sprawy, ale ja z tym stosem maszynopisów – szybko do pociągu. I tym pociągiem jechałam [ścisza głos i mówi wolniej, pochyla się nad kartkami] i każdą po kolei czytałam. Przytulałam się do tych listów, pamiętam – coś niebywałego to wrażenie. (96:47)

I wtedy znajdowałam przeróżne nazwiska, naszych już też, z Poznania. Wie pan, ja wszędzie jeździłam w poszukiwaniu jakichś śladów, do Warszawy, do Łodzi, do Krakowa – wielokrotnie, do Konina przecież też pojechaliśmy wszyscy. Zapisaliśmy się na członków w Koninie wtedy. Jak udało się Majorowiczowi [fonet37:19] zarejestrować się w konińskim sądzie Stowarzyszenie Katyń w Koninie? No to był zaraz projekt Stowarzyszenie Katyń w Poznaniu. Ale musieliśmy czekać, nie umieliśmy tego tak szybko i sprawnie. Duże miasto, większe kłopoty robią. Kolejki są większe. [uśmiecha się]

PB: No a potem się pojawił pomysł pomnika w Poznaniu, prawda? I były kłopoty z lokalizacją.

JF: Och, jak długo się czekało na to...[kiwa głową]

PB: Dlaczego?

JF: Mnie się wydaje, że kto... [zastanawia się, uśmiechając] ...no nie wiem.. Władze jeszcze nie.. nie doceniały, bym powiedziała, tego zjawiska. [uśmiecha się] Bo było utarte takie, że krzywdy robił Germaniec. Prawda tutaj dla Poznania, wszystko co najgorsze to przynieśli Niemcy. Niemiecka okupacja, niemieckie wysiedlenia, Forty... Il tych dramatów niemieckich można było naliczyć. I z tego względu, był jakby w .. mniejszej ciekawości publicznej traktowany Katyń. (98:43)

Aż potem się okazało, że tysiąc, że więcej tysiąc pięćset.. Jak wyszukiwaliśmy potem. Czyli tak cicho siedzieliśmy, wszyscy – my dzieci, żeby się nie dowiedzieli, że mają do nas dostęp i że mogą nas też w jakiś sposób represjonować. No i tak się zbieraliśmy, z wielką pomocą nam przyszli Dominikanie. Kiedy wróciłam z tej Warszawy, kiedy już można było o tym Katyniu mówić głośno, od razu zamówiłam mszę u Dominikanów, wieczorem o 18.00. I

wyszedł Dominikanin, nie pamiętam już który, ale tak że tylko miecza mu brakowało przy tej sutannie. Wyszedł i mówi tak – a w kościele nazbierało się trochę ludzi, już czujne ucho mieli wszyscy z Rodzin Katyńskich. I mówi: – Tutaj zapraszam każdego po kolei. Żeby o swoim ojcu opowiedział kilka słów każdy, kto jest dzieckiem Katyńczyka. Najpierw cisza, a potem zaczęli pojedynczo wychodzić, także ja. I powiedziałam, że wróciłam właśnie stamtąd, że byłam w tym lesie strasznym. Strasznym przez to, że jeszcze ciągle na tablicach jest tam napisane, że zostali zamordowani przez Niemców.

PB: Kiedy te sowieckie tabliczki zniknęły i pojawiły się te prawdziwe już?

JF: Tak, one dosyć... one były, się okazało – potem się dowiedziałam, od Rosjan, że te tablice na gwałt, szybko montowali, i że tam nie było ich przez lata całe, prawda? Stały w pośpiechu wtedy, kiedy była tam jakaś uroczystość prawosławna, i dotarł ten krzyż przywieziony przez kapłanów, i wtedy postawiono te [wychyla się do przodu] marmurowe tablice. [mówi z zaciśniętą szczęką markując konfidencyjny komunikat]

PB: A pani przy samym pomniku poznańskim działała? **(101:58)**

JF: Ach! Ile z tym pomnikiem mieliśmy.. I ile siły jest – bym powiedziała – w takiej trwałej, niepoddającej się presji, że – Musimy to mieć! Musimy. Mieliśmy wtedy niezwykłą przewodniczącą – Zosię Żak. Ona miała taką siłę woli. Ciało mdłe, a wola wiedziała czego chce. [śmieje się] Że trzeba, że koniecznie, że musimy. I wszystkie te sekretariaty, które były szczęśliwe, gdy zamykała za sobą drzwi odchodząc, a potem mówiły – Ach, to wszystko dzięki niej. Ale tyle nas spotykało takiej woli „anty”... [wykonuje ręką gest odtrącania] pamiętam to... Podobnie zresztą w Rosji było. Ja byłam uczestnikiem pewnie pięciu, czy sześciu takich oficjalnych wyjazdów do prokuratury, na Kreml, do Memoriału.

PB: No właśnie – o tym chcieliśmy też porozmawiać. Bo przecież trzeba było przełamać tę rosyjską niechęć. I jak pani sobie radziła podczas tych spotkań, przecież pani tam była na tych ministerialnych salonach w Moskwie.

JF: Wie pan co, drogi bywały przedziwne. Np, gdy jechaliśmy do tej naczelnej prokuratury wojskowej, bo wojskowa dostała to, dla reszty to ciągle były materiały tajne, niedostępne. Np. archiwa rosyjskie zawiadaniały nas tylko, że... rozmawialiśmy tam z młodymi archiwistami, że jak coś jest ściśle tajne, to jest dla nas niedostępne, tylko dla wojska, **(104:11)**

I my tam – to wymyślił ktoś z naszych Warszawiaków, że kupili Marlboro, takie całe lufy, dla jakiejś przemyślenia celnej. To nie może jeden wieść wszystkiego, bo będzie handlarzem, więc każdy z nas – członków delegacji, dostawał dwie takie lufy do swojego bagażu, i do torby schowane, a na to dopiero jakieś pantofle, piżamy, itd. No i prokuratorzy byli tak

wniebowzięci, że jeszcze nie widziałam u Rosjanina takiej prawdziwej radości, takiej że – Ach! Że świat jest piękny! [prostuje się, podnosi głowę i uśmiecha promiennie]

PB: Gdy zobaczyli te podarki?

JF: Te Marlboro, tak.

PB: I to ułatwiało sprawę, tak?

JF: To znaczy tę pierwszą wizytę, potem już było coraz gorzej. Był tam cudowny człowiek wśród prokuratorów rosyjskich [zastanawia się] – Rodziewicz. Jak on miał na imię, chciałam sobie przypomnieć, mam zapisane gdzieś. Ajajaj.. Z rodziny Marii Rodziewiczówny, polskiej pisarki. Rodzina ta, w wyniku represji, zdaje się została tam zupełnie za wrogów ludu najostatniejszych uznana. Chłopaczek zdaje się siedmio czy ośmioletni, został tylko z dziadkiem, reszta rodziny wyrznięta, wyniszczona, nie ma, po prostu przestali istnieć. Ale ten dziadek zachował jakimś cudem prawa do tego chłopca, że go nie odda. I on dzięki temu znał język polski itd. Ale gdy trzeba go było posłać do szkoły średniej, to już władzy dziadka nie mógł mieć nad sobą, to wtedy go posłano do..

[zastanawia się] czy to nawet wtedy już wojsko kładło łapę na niego. Bo on w jakiejś szkole przygotowującej już wojskowo musiał się poddać nauce. I gdy wyszła sprawa Katynia, dla prokuratury wojskowej, ogłosili w wojsku – potrzebny wojskowy, oficer, prawnik z językiem polskim. I na całym tym obszarze, gdzie rosyjskie wojska były, znalazł się Rodziewicz nasz. [uśmiecha się] (107:12)

Dziadek nauczył go polskiego, w tych domach dziecka, czy jak to się nazywało to i skończył prawo, inteligentny był, zdolny, itd. Tak że mieliśmy Rodziewicza – dobrego ducha w tym wszystkim.. [pochylona kręci głową] Niestety podejrzewali go do końca o działanie na rzecz Polski. A z tego dowód, że sami nie uprawiali niczego na rzecz Polski, żeby to było załatwione jak należy.

PB: Pani wspomniała, że z czasem było coraz trudniej, coraz gorzej. Na czym polegały te trudności piętrzące się z Rosjanami?

JF: Że instytucje, do których ześmy przybywali, umywały ręce. Np. Czerwony Krzyż i Towarzystwo Czerwonego Półksiężycy tam działające. – Nie my nigdy nie słyszeliśmy o żadnych mordach na polskich oficerach. Byliśmy na Łubiance, gospodarstwie samego Dzierżyńskiego, to oni mówią: – Nie, my nie, u nas to nigdy nie było. Że Polacy? Jeńcy? Nie... U nas nie było. Potem Rodziewicz, to mi nawet tak wytłumaczył, że jeżeli jest nazwane coś tajne, to staje się od razu świętością dla tego, kto jest odpowiedzialny za to jedno słowo. I cuda można robić, przecież Norymbergę całą przeżyli, prawda? I tej tajności np. paktu Ribbentrop – Mołotow, który przyczynił się do wojny, nie wypowiedzieli. I dopiero zdaje się Ribbentrop na procesie norymberskim, jak go wzięli, to zeznał. Niemiec zeznał. (110:18)

PB: Powoli kończymy, jeszcze tylko chciałem dopytać o naprawdę krótką refleksję – pani była w Katyniu także w 2010 roku? Wtedy kiedy była katastrofa.

JF: Byłam, tak

PB: Jak to jest czuć, że uniknęła pani śmierci? Bo przecież miała pani lecieć samolotem.

JF: No właśnie, [mówi z uśmiechem] to króciutko postaram się powiedzieć, dlatego, że uznaję to rzeczywiście za rzecz niezwykłą. W Stowarzyszeniu pytano kto chce jechać, ja oczywiście zgłosiłam się, że chcę jechać. I że można nawet zgłosić się do samolotu, a większa liczba, to pojedziemy pociągiem. W sumie nas było sześć osób chętnych do jazdy. I ja zdecydowanie poprosiłam, żeby to było pociągiem, bo wolałam spokój pociągu, zwłaszcza, że byłam po endoprotezie w nodze, była troszkę nieruchawa, musiała być trochę jeszcze wyprostowana, a wiem jak w samolotach z tym miejscem wygląda. Miałabym problem z wysiedzeniem tych dwóch godzin lotu. Więc, że pociąg. Bardzo pięknie Rada Ochrony Pamięci zorganizowała nam, wszystkim przyjezdnym pobyt w Warszawie, był zamówiony hotel w dobrym punkcie, skąd rano autokary podwiozły na pociąg, który o tej 7:00 czy 8:00 odjeżdżał z Warszawy Zachodniej do Moskwy. I rzeczywiście, kiedy rano z tego hotelu zjawiamy się na dworcu kolejowym, okazało się, że przyszedł nas żegnać Andrzej Przewoźnik, Saryusz Skąpski, bo oni samolotem będą odlatywać dopiero później. A my już rano w ten piątek, przeddzień uroczystości, jechaliśmy. No i na to się panowie, którzy mnie znali z działalności w Federacji Rodzin Katyńskich – właśnie Andrzej Przewoźnik, mówi – Trzymam dla ciebie miejsce w samolocie. Ja mu odpowiedziałam, że ja się świadomie zgłosiłam na podróż pociągiem, bo będzie to w moim stanie dla mnie bezpieczniejsze aniżeli samolot. **(113:43)**

Samo wchodzenie po tym trapie, przecież jest bardzo utrudnione. On mówi – No nie rób mi tego, zobacz, no przecież wiesz co to znaczy miejsce w tym samolocie? Powinnaś podskakiwać tutaj z radości. Na to ja mówię – Przebacz Andrzej, ale naprawdę nie, tym bardziej, że na lotnisku trzeba się zgłosić o 4:00 w nocy. I w ten sposób się pożegnałam z Andrzejem. A z Saryuszem Skąpskim nawet chciałam pogadać, trochę tracę, że w samolocie nie będzie okazji, ale to już pogadamy na miejscu w Smoleńsku. Weszłam już w tryb podróży pociągiem. Tam nawet było tak świetnie, tak o nas zadbano troskliwie, nawet były rozdawane wojskowe posiłki. Tak że można powiedzieć nawet, że do Smoleńska dojechaliśmy wypoczęci i zadowoleni. To wszystko jest bardzo ładnie zorganizowane przez Radę Pamięci. Czekwały już autokary, pierwszym jechali harcerze, którzy pomagali ładować a potem rozstawiać na miejscu rozkładane krzesła, przecież my tam jeździmy z krzesłami. **(115:50)**

Jeszcze takie bardzo ładne parasole dostaliśmy tam. Na każdym krześle był zawieszony parasol. Bo zdawało się, że będzie deszczowa pogoda podczas całej tej uroczystości. No tak, i my z pociągu jesteśmy już tam usadzeni, [mówi z uśmiechem] Tam też byli ludzie z PiS-u,

którzy mieli swój osobny wagon. No i już jesteśmy, można powiedzieć, na cmentarzu, tu jest ten stół ofiarny, [rysuje ramionami w powietrzu] rodziny katyńskie są w pierwszych ławach. Tak właśnie siedzimy, ja, obok mnie pan z Konina, z drugiej ludzie z Poznania, bardzo ładne miejsca mieliśmy. I Macierewicz, który biega tylko z tych tylnych miejsc, gdzie ci Pisowcy siedzieli. Trochę źle robię, że tak mówię o nich niechętnie, ale on tak dużo takiego szumu i ruchu tam robił, [wykonuje chaotyczne ruchy ramionami] do telewizji ciągle biegał, między telewizją a tymi miejscami. A tu jest wszystko opóźnione, cisza, i nic specjalnie się nie dzieje. **(117:32)**

Aż kapelan za stołem bierze mikrofon i ogłasza, że... A my jeszcze inaczej, pani, która siedzi za panem z Konina, ma telefon od córki z Paryża. I ta córka woła

– Co się stało! Że tu pokazują, że wybuch, że ten..

– Jaki wybuch?

– No że samolot spadł! Gdzie jesteście? – pyta tego ojca.

– No jestem na miejscu, jechałem pociągiem i autokarem, wszystko dobrze.

– Ale wasz samolot, z tymi co tam lecieli spadł!

I taka wiadomość pierwsza nas spotkała, bo Reuter miał podobno pierwsze wiadomości. U nas było 10 min później. I stąd się dowiedzieliśmy, no ale nie, to niemożliwe. Powstaje zamieszanie, pytamy co jest? Ale znowu zaczyna biegać Macierewicz, mija nas w tę i wew tę. I pojawia się kapelan, który mówi tak:

– Przed chwilą samolot uległ katastrofie. W tej chwili wiadomo, że chyba wszyscy zginęli, bo nikt się nie pojawia po tej katastrofie, nikogo nie można zidentyfikować, że żyje.

No i wtedy Macierewicz, wraca od tej swojej telewizyjnej braci i przed nami zaczyna gestykulować i krzyczeć:

– To był zamach! [wykonuje wymachy ramionami]

On wiedział. Wiedział. W 3 minuty od ogłoszenia tego.

– To był zamach! Na nas teraz może być! Musimy teraz jak najszybciej stąd uciekać.

Ja na to jeszcze krzyknęłam, bo zawsze się wypinam pierwsza:

– My tu do ojców przyjechaliśmy! [robi gniewną minę]

To jak wiedział, że będzie pyskówka, to uciekł. [zasłania twarz ręką] I ja się też zawstydziałam. Ale do ojców przyjechaliśmy. **(120:18)**

Siedzieliśmy spokojnie, i rzeczywiście, zaraz, za następne 10 minut, zjawił się konsul z Moskwy i potwierdzony został oficjalny komunikat, że samolot zszedł za nisko, że

uszkodził sobie skrzydła o drzewa, i że nikt nie przeżył. A ja to lotnisko pamiętam z poprzednich wyjazdów, gdzie rzeczywiście było tak... bo to było remontowe stanowisko dla samolotów rosyjskich, jakieś próbne loty – do tego było potrzebne, że sprawdzali jakość naprawy, i że zostali właściwie zmuszeni przez stronę polską, żeby to właśnie tam lądować. A ono generalnie nie było używane do lotów cywilnych. Podobno zostali zmuszeni, bardzo tak jakoś nachalnie, że nie, że przecież w Moskwie, gdzie zresztą było zapasowe lotnisko, ale nawet nie dowiadywali się o nie zdaje się.

PB: Pomyślała pani, że ojciec nad panią czuwał?

JF: [śmieje się] ..że co? Że ojciec? Wie pan co, że właśnie rzecz jest w tym, że jak powiedzieli o tym samolocie, to ten pan z Konina mówi: [obraca się całym tułowiem z zahipnotyzowaną twarzą] – Ty teraz 100 lat będziesz żyć. Tam ktoś nie wiedział – No bo miała lecieć tym samolotem. Ale się uparłam, że nie polecę. I tak zaczęli przychodzić i oglądać mnie – że jak to? Jak to się stało? Jak? Odmówiłaś samolot? Ja bym nie odmówił. No jak to? Przecież samolotem to lepsi tylko latają. [zastyga w pozie, mówi wolno i cicho] I tak się mi złożyło to... 100 lat będziesz żyła. I teraz muszę żyć bardzo długo. Żeby się spełniło. [uśmiecha się] (122:46)

PB: Trzymamy kciuki, bardzo dziękujemy.

[następuje filmowe dokumentowanie materiałów, pamiątek itp]

Koniec nagrania – długość – 130 min